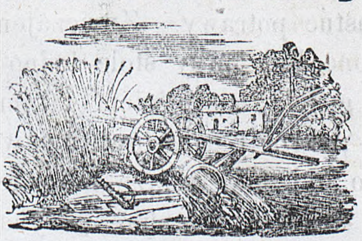
Tom IV. 21. Grudnia 1871. Nr. 18.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mikołaj Gómułka.

Było to w roku 1580, trzysta lat temu, na Zamku Krakowskim święcono uroczyście wigilię Bożego Narodzenia. W bogatej komnacie królewskiej, przy długim stole na środku, siedziało około czterdziestu dostojnych gości. Pierwszym między nimi był król Stefan Batory, w wspaniałym stroju węgierskim. Obok niego siedziała żona królowa Jagiellonka. Została ona żoną Batorego na wyraźne życzenie narodu, gdyż naród po wygaśnięciu rodziny Jagiellonów położył za warunek, aby nowy król poślubił osieroconą Annę. Kochali wszyscy, i szlachta i chłopkowie tę cnotliwą niewiastę, jedyną niejako żywą pamiątkę z rodu Jagiellonów, który przez wieki tak świetnie Polsce królował. Więc też i poważna królowa z całą miłością panowała narodowi i przyświecała mu wzorem cnót swoich i zachowywała na dworze królewskim staropolskie cnoty i obyczaje. Obok pary królewskiej zasiedli biskupi i senatorowie, jak: Piotr Myszkowski, biskup krakowski, Uchański, arcybiskup i prymas, który przed sześciu laty koronował oboje królestwo w Krakowie, Jan Zamojski, kanclerz czyli najwyższy dostojnik w Polsce i inni.

Starym obyczajem, pod nakryciem stołowem leżało siano, na pamiątkę pościeli Chrystusa w stajence Betleemskiej. Król

i królowa łamali się opłatkiem ze wszystkimi po kolei, następnie spożywali postne potrawy. Zwyczajem staropolskiej gościnności, zastawione było przy stole jedno próżne krzesło dla niespodziewanego gościa, a gościem takim mógł sobie być i żebrak najuboższy; król i całe towarzystwo byliby mu radzi tak samo, jakby to był jaki książę lub wielki pan.

Kończyła się uczta królewska, jedynasta godzina wybiła na zamkowym zegarze; goście zajęci poważną rozmową, za przykładem królowej postanowili czekać aż do dwunastej, aby potem przez krużganki zamkowe zejść do kaplicy na mszę pasterską.

W tem jeden z dworzan królewskich oznajmił, że ktoś z kapeli zamkowej prosi o wstęp do komnaty.

— Jest próżne miejsce dla gościa przy stole — rzekł łagodnie Stefan Batory — proście go, aby przybył, wszyscy go radzi przyjmiemy.

— Przebacz miłościwy królu i panie — rzekł wtedy biskup krakowski, Myszkowski — że to zjawienie się nieproszonego gościa, jest moją sprawką. Pewny byłem, że ktokolwiek dziś do Waszych drzwi zapuka, przyjęty będzie gościnnie. Dlatego to namówiłem sam młodego muzykusa, aby się ze swoim darem pochwalił i przedstawił się samemu królowi, bo myślę, że jest godzien łaski Waszej królewskiej Mości.

— Bardzo wam wdzięczny jestem Mości Książe Biskupie — odrzekł Batory.

— Któż jest ten młody muzyk? — spytała Anna, lubiła bowiem bardzo muzykę kościelną i rada przysłuchiwała się pięknym melodyom kapeli zamkowej przy grobowcach swego ojca i brata.

— Jest to Mikołaj Gómułka, krakowianin, a choć dopiero ma lat dwadzieścia kilka, przecież już okazuje wielki talent w muzyce. Jeździł on do Włoch i tam się uczył od sławnego mistrza Palestryny, znanego Wam Miłościwa Pani, gdyż, jak słyszałem, chwaliliście bardzo jego melodyę.

— Tem bardziej pragniemy poznać jego ucznia — powiedziała królowa.

Drzwi się otwarły i w nich ukazał się młody, urodziwy człowiek w polskim stroju. Pod pachą trzymał sporą paczkę

książek i złożył ją zaraz na krześle. Według przyjętego zwyczaju, przyklęknął na jedno kolano dla powitania pary królewskiej.

— Witaj nam, witaj miły gościu — mówił uprzejmie król — oto wolne miejsce przy stole oczekuje na ciebie.

Po ukłonach i powitaniach, Gómułka przybliżył się do królewskiego stołu i nieśmiałym przemówił głosem:

— Bogu najsamprzód składam podziękę, a potem Wam Najmiłościwszy Królu i Najmiłościwsza Królowo i Wam wielce miłościwi Panowie i dostojnicy za to szczęście, jakiego dzisiaj doznaję. Owoce pracy mojej, mych nauk i natchnienia, składam tu dzisiaj przed Wami; niechaj służą na chwałę Boga i pożytek polskiej ziemi. Są to prostacze nuty i tony, bom je dla prostych serc moich rodaków zgotował.

Podniósł książki na krześle złożone, wziął jedną z nich w czerwony aksamit oprawną i z ukłonem oddał ją królowi, drugą królowej, a trzecią krakowskiemu biskupowi z temi słowy:

Niosęć nowe melodye,
Dawidowe Psalmodye,
Które nanowo wydane
I Tobie są przypisane.
Są łacniuchno uczynione,
Prostakom nie zatrudnione.
Nie dla Włochów, dla Polaków,
Dla naszych prostych domaków.

— Dziękuję ci serdecznie mój mistrzu polski — odrzekł ksiądz biskup. Niech ci Bóg błogosławi!...

— I ja Ci dzięki składam — powiedział król Batory — wielka to radość dla mnie panować nad krajem, który takich ludzi wydaje; będzie to dla mnie wielką chlubą, żem wtedy był tutaj królem, kiedy się pierwszy muzyk zjawił, co do pieśni kościelnych piękne dorabiał melodye.

Gómulka ucałował rękę królewską, rozdał jeszcze kilka książek i prosił aby mu pozwolono odejść, gdyż zbliżała się północ, czas mszy pasterskiej i jego obowiązkowej muzyki w kościele.

Kiedy się oddalał, oglądali wszyscy darowane książki. Były to melodye (nuty) do Psalmów Dawida, przetłumaczonych z języka łacińskiego na polski, przez sławnego poetę polskiego, Jana Kochanowskiego.

Dziś dwie tylko z tych książek znajdują się w Polsce; jedna w księżnicy w Kielcach, a druga w Krakowie. Dumni być możemy, że już przed trzystu laty mieliśmy Kochanowskiego, co te psalmy Dawida tak pięknie przetłumaczył i Gómułkę, co takie piękne do nich ułożył melodye, że je po dziś dzień z prawdziwą rozkoszą śpiewać możemy i w kościele podczas nabożeństwa i w domu i w każdej przygodzie. Przyjemnie człowiekowi, kiedy może wyśpiewać swoje myśli i uczucia nutą łatwą i prostą, tak że się jej i dziecko nauczyć potrafi.

Król podziękował bardzo uprzejmie księdzu biskupowi krakowskiemu, za wprowadzenie tak miłego gościa.

— Jeszcze nie na tem koniec — mówi biskup, ale słów jego nie było już słychać, bo dzwon kościelny zapowiedział północ. Wszyscy wstali od stołu — arcybiskup-prymas odmówił modlitwę i król z królową poszli krużgankami do kościoła Msza się uroczyście odprawiała. Na chórze odspiewano zwyczajne pieśni po łacinie, a na **Gloria** zabrzmiała kolęda, przenikająca do głębi serca wszystkich obecnych. Lecz jakież dopiero było zdziwienie, kiedy usłyszano potem nieznaną na głosy po polsku. Słowa były układu Kochanowskiego, a nuta Gómułki. Teraz już i dziecko każde spiewać ją umie, ale wtenczas odspiewano ją pierwszy raz pod przewodnictwem Gómułki. Spiew ten był tak serdeczny, tak przenikający do duszy, że król przysłuchiwał się z największem wzruszeniem, a królowa miała łzy w oczach. Zapewne nie każdemu było wiadomo, że owe piękne melodye do kolęd naszych, do psalmów i do owej pieśni: „Kto się w opiekę“, ułożył Gómułka.

Batory po nabożeństwie zawołał muzyka do siebie i serdecznie mu podziękował.

Z tem większą tedy ochotą pracował odtąd Mikołaj Gómułka i ułożył mnóstwo pieśni, które do dnia dzisiejszego spiewają po kościołach.

Umarł niedługo potem Kochanowski, poeta; w roku 1586 pożegnał się ze światem jeden z największych i najdzielniejszych królów polskich Stefan Batory, przyjaciel naszego muzyka. Gómułka z żalu wyjechał z Krakowa. W dziesięć lat po śmierci króla, umarła cnotliwa Anna, a niedługo i Zamojski. Z gości owych zgromadzonych w wigilię Bożego Narodzenia, nie było już prawie nikogo na świecie. Gómułka mieszkał w Jazłowcu, zajęty ustawiczną pracą wśród kłopotów i nieszczęść domowych. To też kiedy odebrał list z Lublina, że jego największy i najszczerszy przyjaciel, sławny również poeta Sebastyan Klonowicz umarł w niedostatku w szpitalu miejskim, powiedział:

— Czas teraz na ciebie, Mikołaju; tyś jeden jeszcze pozostał z owej wigilii u króla Batorego. Kochanowski, król, królowa, Zamojski, mój przyjaciel Sebastyan (Klonowicz), już w grobie; pójdę i ja, pójdę wnet za wami.

I rzeczywiście, przepowiedział sobie śmierć biedny spiewak. Rok jeszcze pożył i umarł w Jazłowcu 1609 roku.

T. N. J.

Wilija Bożego Narodzenia.

— Powiedźcie mi mój tatulu,
Rychło ten wieczór zawita?
Kiedy gwarno jakby w ulu
I raz podjé się do syta.
Bo przeróżne to jedzenia
Matuś wtenczas nagotuje,
A to warte zadziwienia,
Że mi wszystko tak smakuje:
Ten barszcz pszenny, groch, kapusta,
A jaglana, susz i grzyby;
Choć trzy razy trza wziąść w usta,
Bo jeszcze smażone ryby
I taragńce z makiem przednie,
Jadło nie poślednie!
Białej strucli przytem kawał
I placek jak na wesele.
A kiedy będzie rozdawał
Organista, czy w niedzielę
Te opłatki, z których światki
Będę sobie lepił w święta?

Już zima taka zawzięta,
  Pod śniegiem się wszystko kryje,
Kiedyż będziem mieć Wiliję?
            — Wnet mój synu!
  Ledwie cztery dni upłyną;
Józio przyjedzie z Tarnowa,
  Siedź tu, ja do młocków spieszę.
— Co mi tam braciszek schowa?
 O Boże! jakże się cieszę!

Szczęśliwe te młode lata!
  I tyś szczęśliw mój narodzie!
Bo są ludy pośród świata
  W dobrem mieniu i swobodzie;
Lecz obyczaj mają zimny,
  Szczęście u nich leży w groszu;
U nas to świat wcale inny
  I z życiem się inak znoszą:
Choć w niedoli i w niewoli
  Wnet się serce rozraduje,
Z niebem człek się tak zespoli,
  Że obecność boską czuje.
Są to święta wielkie w roku;
  W nich zwyczaje starodawne
Ileż to mają uroku!
  Jakie wzniosłe i zabawne!
Wtenczas w chacie twej jak w raju,
  Wszystko cieszy — bawi ciebie.
A w kościele gdy zagrają
  Znane pieśni — toś jak w niebie.

A więc Boże Narodzenie
  Rozpoczyna rząd tych Świątek,
Wielkich Świątek i pamiątek;
  Z pokolenia w pokolenie
Wiernie, święcie, uroczyście
  Idą zgodnie z życiem rodu,
Rodu Piasta — a wieczyście,
  Bo on jeszcze będzie z przodu!..

Aleź oto i Wilija —
  W chacie wszystko się uwija,
By przed zmierzchem skończyć pracę;
  Kiedy gwiazdka zamigoce,

W izbie cała już drużyna
  W świąteczne odziana szaty,
Korne modlitwy zaczyna.
  Wtem zaskrzypną drzwi od chaty,
Ot, i gościa Bóg prowadzi,
  A wszyscy mu z serca radzi;
Czy to żebrak, wróg lub inny,
  Znajdzie tutaj stół gościnny,
Bo nasz ludek stale wierzy:
  Że Zbawiciel dla miłości
Przyszedł na świat. I ztąd bieży
  Żróło polskiej gościnności.

Po modlitwie wszyscy społem:
  Ojciec, matka, dzieci, sługi
Za nakrytym bielą stołem
  W jeden, drugi szereg długi
Posiadają w świętej ciszy,
  Jak to każe dnia uczczenie,
(Ktoby pusto śmiał się — grzeszy).
  Gdy tak panuje milczenie,
Więc gospodarz za opłatki
  I obdziela po koleji
Niemi: żonę, czeladź, dziatki.
  Przytem życzeń i nadzieji
Z ust i serc tych co się snuje!
  A każde po swemu bada,
Co mu przyszłość obiecuje.
  Nąjprzód gospodarz podkłada
Opłatek pod każdą miskę
  I w pamięci znaczy kreskę:
Na urodzaj — gdy odczepi,
  Na zarazę — gdy się zlepi.
Jednak tem się nikt nie trwoży,
  Tylko czyni swoje sprawy,
Bo we wszystkiem palec boży,
  A to zwyczaj dla zabawy.
Więc po skończonej wieczerzy
  I modlitwie dziękczynienia
Każde w swoją stronę bieży,
  Badać losu — przeznaczenia.
A gospodarz w tem rozściela
  Wiązkę sianka na posłanie
Dla Baranka — Zbawiciela,
  Który z domem pozostanie.

Przy drzwiach kłoci jest dwa snopy,
 Te za stragarz garską rzuca,
Teraz się już nie zasmuca,
 Bo naliczył mnogie kopy.
A kiedy tak dobrze idzie,
 Nie będzie człek z lata w biedzie,
Lecz co jesień z sadu nada?
 Jest i na to dzisiaj rada!
Więc do sadu z synem rusza,
 Drzewu siekierą zagrozi,
Potem słomą opowrozi
 I obfitą jabłoń — grusza
A gosposia z resztą jadła,
 Do bydełka swego spieszy
I niezmiernie tem się cieszy,
 By słyszała lub odgadła
Jego mowę — bo jej zda się:
 Że dzieląc ludzką ochotę
I bydełko rozmawia się.
 Więc nie ganić tę prostotę!

Ale pójdźmy do podwórka:
 Tu dziewczę hoże, ochocze,
Gdyby jaskółka szczebiocze,
 Skacząc od kołka do kołka.
I ostatni — ach! parzysty!
 Więc znowu przed chatę biegnie:
Gdzie ten chłopiec jej siarczysty?
 A! już wiem gdzie! pewnie, pewnie,
Zkąd pies najpierwej zaszczeka...
 Biegnie — a znany już czeka.
Przestraszone, ucieszone
 Dziewcze na dół spuści oczy —
A chłopiec ku niej podskoczy
 I jakieś słówko piesczone
Tylko szepnął — już wesoła
 I do izby gościa woła.
Bo nietylko dla gościny
 Dzień ten świętym w naszym kraju,
Ale także zaręczyny
 W nim się najlepiej udają.
Kto dziś zacznie szczerze, śmiele,
 To dziewczyny już nie zwodzi,

Nie długo w zaloty chodzi,
Bo w zapusty już wesele.

W chacie teraz nie bez tego:
Bo kto tylko w Boga wierzy,
To zawodzi:
„Tego dnia wesołego...“
„Bóg się rodzi — „W żłobie leży“ —
I przeróżne inne jeszcze
Te kolendy dawne, znane,
Od narodu ukochane,
Co Karpiński, drudzy wieszcze
Z serc pobożnych wypieśnili,
I jako skarb polskiej duszy,
Którą z niebem spoi, wzruszy —
Nam w spuściźnie zostawili.

Gdy przysłuchasz się, mój bracie
Owym śpiewom tak wesołym,
I przypatrzysz każdej chacie
Wzrokiem duszy czystym, zdrowym,
To zda ci się, żeś w Betleem;
Że szopką jest każda chata,
A chór pieśni, co z weselem
Aż pod niebo gdzieś tam wzlata —
Że te głosy, to anielskie
Płyną od tych gwiazd tysięcy
Na niskości nasze ziemskie
I głoszą pociechy więcej...

Tak brzmią pieśni. Aż tu dzwony
Na pasterską lud wzywają
O północy. Z każdej strony
Wierni w kościół się zbierają
I tu z księdzem przed ołtarzem
Pełni świętej pobożności
Zaśpiewają wszyscy razem:
„Chwała bądź na wysokości!“

M. Nadwiślak.

Zdrowie i choroba.

Jest wielu ludzi, co cieszą się że są zdrowi i żadnego nie dokładają starania, aby na dalej zdrowymi byli, co głosu rozsądku nie słuchają, lecz za chuciami i namiętnościami idą i powtarzają często fałszywe przysłowie, że zdrowemu wszystko zdrowo. Jedni są nieumiarkowani w jedzeniu i piciu, drudzy w pracy i uciechach. Wielu niszczy na rozpuście bez rozwagi najszlachetniejsze siły; inni wystawiają się na rozliczne niewygody dla marnego zysku. Na długo i najsilniejsze ciało nie wytrzyma, a złe nadchodzi, kiedy się go najmniej spodziewamy.

Jakże to szkodzi sobie człowiek dalej przez to, że swe ciało innem mieć pragnie, jak je z ręki stwórcy otrzymał. W Chinach małe nogi za prawdziwe przymioty niewieściej piękności uważają. Stąd też dziewczętom zaraz w pierwszej młodości ciasne dają obuwie i palce rzemykami do podeszwy przywiązują. Dla tego nie wyrastaja nogi, zostają wprawdzie małemi, lecz szkaradnemi i nie zdołają unieść dostatecznie ciała. Pewien naród indyjski przywiązuje do głowy dziecka dwa drewna płaskie, aby płasko rosła; tam więc okrągłe głowy nie bywają uważane za piękne. Mieszkańcy północno - zachodniego brzegu Ameryki przecinają sobie dolną wargę w poprzecz, i to tak bardzo, że tym otworem język, jak drugie usta wyglądający, pokazać mogą. Słuchamy ze wstrętem o takowych zeszkaradzeniach, a jednak coś podobnego dzieje się u nas. Nie ściągaż wiele dziewcząt swego ciała sznurówką, aby przeciwnie naturalnemu wyglądało? A tak zcieńczone, osowate ciało uważamy za piękne! Próżność tak nas oślepia, że nie widzimy szkody, która ztąd wynika. Wnętrzności w ciasne skupione miejsce nie odprawują swych czynności. Wstrzymuje się krew i inne płyny w swym biegu; powstają zatamowania i choroby. A tak spadają boleści na tych, co krzywdę czynią dziełu boskiemu.

Człowieka otaczają ciągle przyjaciele i nieprzyjaciele życia. Często można zaraz jednych od drugich rozpoznać, a rozumny

pierwszych się trzyma. Lecz często ukazują się nieprzyjaciele życia w postaci przyjaciół, zwabiają zwyczajnie do uciech i roskoszy, a biedny człowiek oddaje za nie najdroższe dobro. Trzeba zatem wcześnie starać się o poznanie niewinnych uciech, i przyzwyczajać się do zachowania miary we wszystkich rzeczach.

Żadne na ziemi stworzenie nie ulega tylu chorobom jak człowiek, lecz żadne też bardziej nie zbacza z drogi natury, jak człowiek. Przodkowie nasi ćwiczyli i hartowali z młodości swe ciało, żywili się płodami swej ojczyzny, stąd też byli wzrostu wielkiego, mocni i silni. Przewyższamy ich teraz wprawdzie nauką, lecz jak nisko co do ciała od nich stoimy. Jeżeli się przewrotny sposób życia jeszcze przyłączy, nie można się dziwić bynajmniej, że wrodzona siła i piękność coraz się rzadszemi stoją. Pijaństwo, obżarstwo, niedbalstwo, rozkosze, sprowadzają mnóstwo chorób, przeciw którym znowu mnóstwo lekarzy i aptek z lekarstwami w flaszkach i słoikach, co je z wszystkich części świata sprowadzać trzeba.

Cóż należy przed i po okazaniu się choroby czynić? Najprzód stan swój trzeba dobrze uważać. Wiele chorób jest z gatunku febry, które tak się zwyczajnie zaczynają: czujemy się słabymi, jadło nam nie smakuje, ale daleko więcej ochoty na picie; nie możemy sypiać, albo bardzo niespokojnie, pełno snów mamy; czynność trawienia tamuje się i pokazuje się ból głowy, zimno a potem gorączka. Jeżli się znaki takowe pokażą, należy czynić czego natura zdaje się wymagać. Nie trzeba jeść, tem więcej pić. Trzeba się starać o spoczynek, najlepiej jest położyć się; gdyż słabość wskazuje, że sił, które jeszcze ma ciało, do wewnętrznej walki użyć należy. Pewien podeszły w latach człowiek zwykle się kładł, gdy go choroba w czasie długiego jego życia napadała, używał tylko wody i chleba, a tak zwyczajnie w krótkim czasie odzyskiwał zdrowie. Inny toż samo zachowywał, ale brał jeszcze głód na pomoc. Podczas choroby trzeba dobrze pamiętać o drogach usunienia, jakie sobie sama obiera natura, czyli sobie przez poty, laksę, cieczenie krwi z nosa, albo przez wyrzuty pomagać się stara, gdyż w tem ma lekarz wskazówkę, jakich środków użyc powinien.

Wreście przy wszystkich chorobach na czystość uważać należy. Należy świeże powietrze wpuszczać do izby chorego, odchody zaraz wynosić i starać się, aby wielu ludzi, zwierząt, kwiatów, w ogóle tego wszystkiego, co mocno wyziewa, w pokoju chorego nie było.

Ci, którym powierzono pielęgnować chorego, powinni się z nim łagodnie i uprzejmie obchodzić. Nie należy z nim wiele mówić, starać się o potrzebną spokojność i częstych odwiedzin nie przypuszczać. — Kadzenie u chorych jest szkodliwe; nie poprawia ono powietrza, owszem je psuje. W izbach chorych nie powinno być ani zbyt ciemno, ani jasno, ani też ciepło. Posłanie chorego niech będzie czyste i porządne, przykrycie nie za ciężkie, a spodek nie za miękki. Chorego do jadła przymuszać nie trzeba; przezorność tę i u tych, co już do zdrowia wracają, zachować trzeba. — Niektóre choroby udzielają się innym przez zarażenie, jako ospa, żarnice, pytocie, parchy, szkarlatyna, biegunka, zgniła i nerwowa febra. Można się nie tylko dotknięciem, ale nawet wyziewami chorego zarazić. Nie trzeba, chcąc się zarażenia ochronić, przebywać u chorego na czczo, w izbie chorego nie jeść i nie pić, skórę zimną tu myć wodą i ostrożnie, ale nie z bojaźnią zbytnią chorego pielęgnować.

W niektórych przypadkach, na miejscu środków użyć trzeba lekarskich, aby człowiekowi życie ocalić. Cóż czynić trzeba, gdy kto się utopił, udusił, od pioruna zabity, lub otruty został? W takiem niebezpieczeństwie każdy moment jest drogi; wszystko zależy od prędkiej pomocy. Z utopionymi, uduszonymi, od pioruna zabitymi, w zachwyceniu, czyli podobnem do śmierci omdleniu będącymi tak się obchodzić należy: przyspieszyć trzeba wyciągnienie z wody albo dymu, w ogólności oddalić przyczynę śmierci. Potrzeba utopionego lub innego nieszczęśliwego czemprędzej rozebrać, przykryć ogrzanemi kołdrami, albo pościelą, potem ręce, podeszwy nóg i żywot trzeć, albo szczotkować. Jeżeli się znaki życia spostrzegą, wlewa się choremu w usta cokolwiek wina, albo wódki z wodą zmięszanej. Kiedy piorun kogo poraził, zbawiennem jest zakopać go w ziemię. Kładzie się twarzą i to z otwartemi ustami na świeeż

wykopane miejsce w ogrodzie, albo też zakopuje się w ziemię pod szyję. — Z zmarzłym człowiekiem wcale inaczej obchodzić się trzeba; ciepło byłoby mu szkodliwe. Wnieść go należy do zimnego pokoju, rozebrać i całego aż do ust i nosa śniegiem obłożyć. Jeżeli nie masz śniegu, włożyć go należy w zimną jak lód wodę. Jeżeli po niejakim czasie siły życia pokazywać się zaczną, daje się choremu cokolwiek ciepłej herbaty, zanosi się w łóżko i pociera się chustkami. — Dla otrutych znajdują się 2 środki nieocenione, co się też wszędzie znajdują: mleko i olej. Daje się cierpiącemu dużo mleka do picia i co kwadrans 2 lub trzy łyżki oliwy. Jeżeli się womity pokażą, to jest tem lepiej. Jeżeli wiemy z pewnością, że trucizna była arszenikiem, żywem srebrem, albo też coś podobnego, rozpuścić należy masła w wodzie i dać pić choremu. To jest dostateczną rzeczą, dopóki lekarz nie przybędzie. Rozumie się, że tu wszędzie mówimy o lekarzu uczonym, co to całe życie poświęcił, ażeby zbadać słabości ludzkie, co zna każdą żyłkę i kostkę w człowieku i potrafi go wyleczyć prawdziwie, jeśli tylko choroba nie jest śmiertelną. Baby wiejskie i znachory i rozmaici czarownicy i doktory wiejscy, co to się niczego nie uczyli, wykpiwają tylko od biednych ludzi pieniądze i dają choremu pić rozmaite pomyje, a najczęściej go zabijają albo trują. Komu życie miłe, ten się takich wykpigroszów najbardziej strzedz powinien.

NIEDZIELA.

Zkądże dziś człeku tyle swobody,
Zkąd sercu tyle wesela?
Spoczywa stary, cieszy się młody,
To boży dzionek Niedziela.

Biją na wieżach dzwony spiżowe,
W kościołach zgodne brzmią głosy;
Człek z prochu ziemi podnosi głowę
I rad spogląda w niebiosy.

Dokoła matek garną się dziatki,
Brat bratu radę udziela;

Rzemieślnik gwarzy w kole czeladki,
Bo dzień to boży Niedziela.

Jakże szczęśliwy, ten kto wytrwale
Tydzień pracował dla ludzi;
Kiedy w niedzielę ku bożej chwale,
Dzwon na modlitwę przebudzi!

Ale szczęśliwszy, o bracia moi,
Kto przeżył w trudzie dni wiele,
A jednak śmiało przy krzyżu stoi,
Bóg w końcu dał mu Niedzielę.

A. N.

Rozmaitości.

— Cierpliwość, wytrwałość i praca do tak wielkiej prowadzą doskonałości w każdym zawodzie, że wzbudzają podziw wszystkich ludzi. Wszyscy Warszawianie z ciekawością przypatrują się teraz niejakiej Luizie B. Urodziła ona się bez rąk, ale przez pracę i cierpliwość takiej wprawy nabyła w nogach, iż niemi szyje, gra, je, czesze się, myje i t. d.

Niemniej podziwu doznaje żyd, który od urodzenia nie ma łokci i palców. Pije, je, ubiera się również nogami i zdaje się, kiedy się na niego patrzą inni, że mu nic nie brakuje.

— Walek idź do stodoły młócić. — Kiej zimno tatusiu. — To weź drzewo i strugaj kołki do brony — Kiej okaleczyłem sobie palec, to nie mogę. — A to idź do sadu i suchym jałowcem poobkładaj drzewa, by ich zające nie ogryzały. — Kiedybym się pokłuł w ręce. -- No to weź książkę i przeczytaj nam co. — Kiedy mnie oczy bolą. — Początek próżniacki, a koniec łajdacki.

— W Moskwie, w mieście Kursku, zdarzył się następujący wypadek: Lud zebrał się licznie na nabożeństwo do cerkwi szyzmatyckiej. W tem grube filary, podpierające sufit zwaliły się, a ztąd i cała cerkiew groziła zawaleniem. Rzucili się wszyscy do drzwi i powstał tak wielki ścisk, że 13 mężczyzn i 42 kobiet udusiło się.

— A gdzież wy jedziecie z tem zbożem? — Do miasta sprzedać. — Nie możecie to zaczekać aż podrożeje? — Ej nie mogę, bo mi pieniędzy trzeba. — A przecież w tamten tydzień sprzedaliście wszystek owoc z sadu za dobre pieniądze. — Już ich nie ma. — Cożeście kupili? — A nic, alem stracił na weselu Maćkowem, a teraz mi znowu potrzeba, bo Franek chrzci syna i prosił mię za kumotra. — Oj sąsiedzie i nieżal wam też tak marnie puszczać

grosza? — Ej co tam o grosz, nie dbam o niego. — Kto o grosz nie dba, ten szeląga nie wart.

— Wieśniak kupił na jarmarku konia od żyda. Nie uważał jednakże, że koń był na oba oczy ślepy. Chciał go zwrócić żydowi, ale ten ani myślał o oddaniu pieniędzy. Sprawa przyszła do powiatu przed sędziego, a żyd tak się tłumaczył: Wszakżeż on chciał konia do roboty, a nie do czytania. Zwierzę jest silne i żwawe a do wywożenia gnoju i do robót w polu, oczy mu są wcale niepotrzebne.

— Coście tak posmutnieli Bartku? — A jakżem nie miał posmutnieć, kiedym obleciał całą wieś, a nikt mi pięciu reńskich dać nie chce. — A przecież mieliście tylu przyjaciół? — Ba, dopókim ich miał za co poić, to mi każdy chciał duszę oddać, a jak brakło grosza to i grajcara nie dadzą. — Ha mój Bartłomieju, trzeba umieć wybierać przyjaciół prawdziwych, ale nie takich co was kochają za szklankę piwa lub kieliszek wódki. Bo to: Jak ci szczęście służy, stu przyjaciół służy, a gdy szczęścia już nie ma, ledwie jeden dotrzyma.

— I zmarniało całe gospodarstwo. — Oj zmarniałoć, zmarniało. — O przez Pana Boga, a toć mieliście i gruntu wiele i czeladzi nie mało i grosz w kalecie i przez cóż tak zmarnieliście? — Ha, póki bracia byli w zgodzie, wszystkiemu Bóg błogosławił, ale jak się tatuś wzięli swarzyć ze stryjkiem, tak całe gospodarstwo poszło na nic. — A więc zginęliście przez niezgodę? — Ha, przez niezgodę — Mocny Boże, toć to dawne przysłowie mówi: Przez niezgodę, tracą ludzie swobodę.

Złote ziarna.

Niechaj źli we złocie chodzą
I nad lepszymi przewodzą,
Jednak złe sumienie mają,
Sądu Boga się lękają.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoś nie wydrze nieprzyjaciel srogi;
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkiem innem panuje przygoda.

Człek się rodzi do pracy, kto czas traci marnie,
Tak jak ów żyje, co go sen wieczny ogarnie.

Ten co sierotę przyjął pod strzechę,
Temu Bóg z niebios zsyła pociechę.

Kto użył biedy, poznał cenę chleba.

Od Redakcyi.

Nie jeden z Was, kochani Czytelnicy, a nawet i bardzo słusznie gniewa się na nas pisarzy „Dzwonka“, że kilka numerów zaległo; że za swoje dobre, zapracowane grosze „Dzwonka“ nie otrzymuje. Oj, kochani Bracia, tak jak Wam nieraz trudno złożyć reńskiego i przysłać nam go na „Dzwonek“, tak i nam tu sprawa trudna, a może trudniejsza jeszcze.

Nie będziemy Wam tu mówili, że pieniądze przez Was nadsyłane kosztów papieru i druku nie pokrywają, bo o tem przekonani jesteście, jeno to powiemy na usprawiedliwienie nasze, żn nie jesteśmy ludzie bogaci, a więc każden z nas pracować musi na siebie, i ztąd dla braku czasu z trudnością nam nieraz pisanie „Dzwonka“ przychodzi. A niechno który z ważniejszych pisarzy „Dzwonka“ wyjedzie na czas jaki, albo też zachoruje, jak to właśnie był teraz przypadek, to już i przerwa gotowa, i numerek za numerkiem się spóźni, że potem i wydołać nie sposób. Dla tego nie gniewajcie się na nas, bo mimo chęci i woli nastąpiła ta zwłoka.

Na dziś wydajemy numer 18. a brakujące numera w jak najkrótszym czasie uzupełnimy, oraz okładkę i spis rzeczy dodamy, i powstanie znowu cały tom, co w nim ani jednego numeru brakować nie będzie.

Z nowym zaś rokiem nowy tom „Dzwonka“ rozpoczniemy, który tak samo jak dotąd kosztować będzie.

Dla tego prosimy Was o odnowienie przedpłaty, byśmy zawczasu urządzić się mogli i nakład obrachowali.

A teraz życzymy Wam świąt wesołych i Panu Bogu Was oddajemy.

Pisarze „Dzwonka.“

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.